

JERZY KUKUCZKA

MÓJ PIONOWY ŚWIAT





Jerzy Kukuczka, urodzony 24 marca 1948 roku w Katowicach, w rodzinie górali istebniańskich. Był szczęśliwym małżonkiem i ojcem; żona Cecylia i dwaj synowie Maciek i Wojtek. Pracował w górnictwie jako technik elektryk. Od najmłodszych lat przemierzał szlaki turystyczne Beskidów. Wspinaczkę rozpoczął gdy miał 17 lat i połowę swojego życia spędził w górach. Najpierw były to skałki i jaskinie Jury Krakowsko-Częstochowskiej, a potem jaskinie i szczyty Tatr. Dzięki wspaniałym przejściom tatrzańskim szybko awansował do elity polskich wspinaczy. Następnie przyszły sukcesy w Dolomitach, Alpach, górach Alaski, Alpach Nowozelandzkich, Hindukuszu i Himalajach. Wszystkie jego osiągnięcia charakteryzowały się najwyższą jakością. Od 1979 roku całą swoją pasję poświęcił Himalajom i szybko dołączył do światowej czołówki himalaistów. W ciągu 8 lat zdobył wszystkie 14 najwyższych szczytów Ziemi, wyznaczając nowe drogi, dokonując pierwszych zimowych wejść, a także jednego wejścia solo. Sportowe osiągnięcia w Himalajach i Karakorum predestynują Jerzego Kukuczkę do miana najwybitniejszego himalaisty lat osiemdziesiątych. W 1988 roku Międzynarodowy Komitet Olimpijski przyznał mu Srebrny Medal Orderu Olimpijskiego. Poczta Polska wydała okolicznościowy znaczek z podobizną Jerzego Kukuczki i wizerunkiem jego olimpijskiego odznaczenia.

Zginął 24 października 1989 roku podczas ataku szczytowego na południowej ścianie Lhotse.

MÓJ PIONOWY ŚWIAT

*Nie jesteś drugi,
jesteś wielki.*
Reinhold Messner

© Mac Systems Maciej Kukuczka - wszystkie prawa zastrzeżone.

Wydrukowano w Polsce.

Redakcja: Cecylia Kukuczka

Korekta: Ewa Balicka

Fotografie: Archiwum Jerzego Kukuczki

Projekt okładki: Wojciech Kukuczka

ISBN 978-83-928083-0-5

Spis treści

Wstęp	7
Od Autora	9
Trochę na prawo od najwyższej góry świata	13
Everest „po polsku”	29
Biedronka z plastyku	40
„Skradziona” góra	55
Góra „na kredyt”	66
Przejechany wąż	80
8167 metrów śniegu i mgły	92
Wyłamane szczęble	107
Nanga nie pobłąza	117
Plecak na zboczu	134
Wieczne odpoczywanie	141
„Rób swoje”	152
Nic to	172
Zimne piekło	188
Kaczka po pekińsku	199
Czternaście razy osiem	211
Południowa ściana Lhotse – 1989 rok	225
Przejścia wspinaczkowe Jerzego Kukuczki	237

Oficjalna strona z możliwością zakupu książki: www.kukuczka.net

Wstęp

Spotkało mnie w życiu coś wielkiego, pięknego i niepowtarzalnego. Miałam szczęście być żoną Jerzego Kukuczki i towarzyszyć mu przez kilkanaście lat jego życia. Obserwowałam Jego wielkie osiągnięcia, upadki, rozterki, chwile szczęścia i chwile bardzo trudne na drodze, którą wybrał. Odkrywałam w Jerzym nowe wartości, które przywiązywały mnie do Niego coraz silniej. Choć minęło już wiele lat, wciąż jest mi trudno ukazać mój ból i cierpienie po jego stracie. Jerzy był alpinistą niezwykłym, posiadał siłę charakteru, fenomenalny talent, a także łatwość aklimatyzowania się w górach najwyższych. To one przyniosły mu upragnione zwycięstwa. Otwarty, przyjazny, uczciwy, wyzbyty pychy, skryty w uczuciach, praktykował alpinizm z czystej pasji, prawdziwie kochał góry i ludzi. Na pytanie, po co chodzi w góry, odpowiadał: „W ciągu miesiąca intensywnego życia w górach przeżywa się kilka lat. To jest zajęcie dla ludzi zachłannych na życie. A życia jest człowiekowi za mało”.

Być może radość zwycięstwa i zasłużone zaszczyty, od których zresztą uciekał, pozwalały mu dalej snuć, trwać w wymarzonej przyszłości. Bez gór nie mógł żyć, były mu potrzebne do normalnego funkcjonowania, do zaspokojenia sportowych ambicji, były jego namiętnością.

Realizował marzenia nie tylko swoje, ale nas wszystkich – marzenia o zdobyciu tego, co nieosiągalne, pokonywaniu tego, czego pokonać – zdawać by się mogło – nie sposób.

On udowodnił, że można. Sięgał coraz wyżej, coraz dalej. To fascynowało, napawało dumą. On, jeden z nas, potrafił. Był dumny, że mógł stanąć na wszystkich ośmiotysięcznikach, a my jesteśmy dumni, że urodził się wśród nas.

Zabrały go góry.
Czy mogło być inaczej...?

Mija właśnie 20 lat od Jego tragicznej śmierci na południowej ścianie Lhotse. Wznowione po wielu latach wydanie książki zostało wzbogacone o niepublikowane do tej pory materiały z archiwum Jerzego Kukuczki.

Niech ta publikacja będzie hołdem oddanym Jerzemu, wskrzeszeniem pamięci o wielkim polskim alpiniście.

Cecylia Kukuczka

Od autora

Po raz pierwszy dotknąłem skały w sobotnie popołudnie 4 września 1965 roku. Od tej pory wszystko inne przestało się liczyć. Zrezygnowałem nawet z wycieczek w Beskidy, które były odskocznią od naszej czarnej, śląskiej rzeczywistości, tą odrobiną zielonego i wolności, choćby tylko w niedzielę.

Przywieziony przez kolegę do Podlesic, w 20-metrowe wapienne skały, zobaczyłem, że ludzie wspinają się nawet po pionowej ścianie. Dotknąłem, podciągnąłem się na rękach, wyczułem, że nie tylko jakoś się tej skały trzymam, ale potrafię ją nawet pokonać.

Tak odkryłem zupełnie dla mnie nowy pionowy świat.

W rok później, po 11-dniowym kursie wspinaczkowym, zostaję już w Tatrach, bo czuję, że to jest to. Pokonuję owianą dawnym jeszcze mitem Zamarłą Turnię. Następnego ranka porywam się z Piotrkiem Skorupą na uważany za najtrudniejszy w Tatrach — lewy filar Kazalnicy. Po czterech wyciągach wycofujemy się, bo łamię własnoręcznej roboty młotek. Niezwłocznie bierzemy z Piotrkiem tydzień dodatkowego urlopu i wracamy w Tatry, bo filar Kazalnicy nie dawał nam spokoju. I pokonujemy go. W ciągu półtora dnia powtarzamy to, co jest dorobkiem jedynie najściślejszej czołówki taterników polskich.

Zostajemy zaproszeni na obóz unifikacyjny dla wybijających się młodych taterników, z którego droga prowadzi już w Dolomity i Alpy. Nie dla nas... Powołanie do wojska odbieram jako życiową klęskę, oderwanie na dwa lata od tego, co stało się dla mnie sensem i pełnią życia, od gór. Kiedy jesteśmy nareszcie znowu cywilami, postanawiamy zrobić zimą direttissimę Kazalnicy, uznawaną za największy nierozwiązany wówczas jeszcze, mimo wielokrotnych prób, problem polskich Tatr.

W połowie drugiego dnia wspinaczki oblodzona lina sprawia, że idący ze mną Piotrek Skorupa spada i ginie. Po raz pierwszy stykam się w górach z tragedią, śmiercią Przyjaciela. Szok. Powrót do Katowic, bolesne spotkanie z rodziną, pogrzeb. Zadaję sobie pytanie: czy warto dalej, czy to ma w ogóle sens? Dramatyczna rozterka, bo góry ciągną, ale rozsądek mówi: daj sobie spokój...

Po trzech tygodniach jestem znowu w Tatrach. Robimy kilka pierwszych przejść zimowych, co pomaga mi otrząsnąć się ze zwątpienia. W 1971 roku na obozie centralnym w Dolomitach robimy z Januszem Skorkiem i Zbyszkim Wachem direttissimę Torre Trieste i nową drogę na Cima del Bancon. O ile dawniej książkę Dorawskiego „Człowiek zdobywa Himalaje” czytałem jak o górach całkiem dla mnie nierealnych, fantastykę, o tyle teraz coraz częściej przeblýskuje mi zuchwała myśl, że może kiedyś trafię też w najwyższe góry.

W czasie śląskiej wyprawy w góry Alaski, już na wysokości 4500 metrów rozkłada mnie zupełnie choroba wysokościowa — jedynie siłą woli gramolę się na wierzchołek Mount McKinleya, góry sześciotysięcznej. Schodząc, doznaję odmrożeń, wracam do kraju, prosto do szpitala i od tej pory moja droga górską zaczyna się kręcić w miejscu. Wypadam z obiegu. Załapuję się na wyjazdy środowiskowe i studenckie. Robię nawet w Alpach z Wojtkiem Kurtyką dwie nowe drogi: na północnych ścianach Petit Dru i Grandes Jorasses, lecz mimo to droga w góry wysokie jest dla mnie nadal zamknięta. W 1975 roku wyjeżdżam wreszcie wraz z gliwickim Klubem Wysokogórskim w Hindukusz, prawdziwy przedsiónek Himalajów, gdzie już na początku wyprawy rozchorowuję się. Nie biorę udziału w ataku szczytowym na Kohe Tez, podczas którego Janusz Skorek, Grzegorz Fligiel i Marek Łukaszewski, w dzień po zdobyciu szczytu obsuwają się i spadają kilkaset metrów. Są mocno poturbowani, ale żyją, wyprawa zamienia się w zakończoną powodzeniem akcję ratunkową. W ostatniej już chwili sam wchodzę drogą normalną na siedmiotysięczny Kohe Tez.

W 1978 roku mój katowicki klub podejmuje wyprawę w prawdziwe Himalaje, z zamiarem wejścia wschodnim filarem na Nanga Parbat. Stając jednak przed tymi pięcioma tysiącami metrów ściany... robimy w portki. Idziemy w górę drogą normalną, gdzie na wysokości ponad 8 tysięcy metrów zatrzymuje nas bariera skalna. Wycofujemy się.

Ruszamy w dół. Jest piękna październikowa pogoda, idziemy przez pomalowany jesienią na żółto i złoto rzadki las. Idę i staram się nie patrzeć za siebie, gdzie piętrzy się oświetlona zachodzącym słońcem ściana Wielkiej Góry, na którą nie wszedłem.

Ten widok wzbudza we mnie potworny żal. Przecież tak niewiele brakowało, żeby stanąć na jej wierzchołku...

Pocieszałem się tylko odkryciem, że Himalaje są też dla ludzi. Że kiedyś w te największe góry wrócę.

Muszę wrócić.

I wróciłem.

A potem napisałem tę książkę.

Nie ma w niej odpowiedzi na uparcie przez wielu stawiane pytanie o sens wypraw w wysokie góry.

Nigdy nie odczuwałem potrzeby podobnej definicji. Szedłem w góry i pokonywałem je.

To wszystko.



Członkowie Klubu HKT „Na bazie” w Kirach Kościeliskich (od lewej: B. Pawlas, J. Murek, J. Kukuczka, B. Szyszko, B. Klisz)



Młody Jerzy Kukuczka w Tatrach

Trochę na prawo od najwyższej góry świata...

Lhotse, północno-zachodnia ściana, 1979

— Wiecie, od tego są wielkie, wyspecjalizowane przedsiębiorstwa. Na przykład Hutnicze Przedsiębiorstwo Remontowe... Słyszeliście o takim?

Dyrektor wyraźnie postawił sobie za cel, że nie straci niczego ze swojego majestatu. Jest rok 1978. W gabinecie wisi na ścianie godło państwowe, obok biurka stoi rachityczna paprotka, w oszklonej szafce na półce kilka tomów dzieł Lenina.

A przez okno widać wielki, stary komin.

Chodzi właśnie o ten komin, jednak wszystko jest tutaj starannie przemyślaną grą, w której nie można popełnić błędu. Więc unosimy się z krzeseł, na których ledwo zdążyliśmy usiąść.

— Rozumiemy. To my w takim razie... Może innym razem. Wyraźnie robimy ruch w kierunku drzwi. Ale gra trwa, jeszcze nic nie wiadomo.

— Zaraz, zaraz, chwileczkę. Porozmawiajmy trochę...

Bo dyrektor wie, że my wiemy, że kolos, jakim jest Hutnicze Przedsiębiorstwo Remontowe potrafi zrobić wszystko, nawet postawić od nowa wielki piec. Na wszystko ma plany, horrendalne kosztorysy, narzuty. Tylko na malowanie kominów akurat nie ma z reguły czasu. Dlatego dyrektor świadom, że może coś jego majestat na tym nawet ucierpi, nie pozwala nam jednak wyjść z gabinetu.

— Ciekaw jestem, ile też czasu panowie na to potrzebują?

Za oknem widać ten potężny, chociaż już mocno odrapany komin, patrzymy w jego kierunku i kręcąc głowami, wykrzywiając przy tym usta w podkowę, mówimy:

— Ze dwa tygodnie. Może dalibyśmy radę i w tydzień.
— Tydzień? — Dyrektor poprawia się w fotelu, jest wyraźnie rozbawiony. Punkt dla niego. — Tydzień, wiecie, nie wystarcza, żeby postawić samo rusztowanie...

- Bo my malujemy bez rusztowań.
- To jak?
- Na linach.

Zapada chwila ciszy, która może decydować o wszystkim. W dyrektorskiej głowie kłębią się przeróżne myśli. A ma nad czym myśleć. Stoi przed nim dwóch młodych i, na pierwszy rzut oka, bezczelnych ludzi, a za oknem jest ten cholerny komin. Rdzewieje od lat, powinien być co roku, najwyżej co dwa konserwowany i malowany. Powinien. Przepisy. Ale kto to ma zrobić, jeżeli brak wykonawcy. Tylko patrzeć, jak znowu przyczepi się do tego jakaś komisja. Postoi tak jeszcze parę lat i, co również prawdopodobne, po prostu się rozleci. A wtedy... Nie, dyrektor nie chce kończyć tej ponurej myśli. Skupienie na jego twarzy narasta, nagle przechodzi w grymas pogodnego zainteresowania.

- Kawę czy herbatę?
- Wszystko jedno, nie chcemy sprawiać kłopotu...

Wtedy, jeżeli to jest ważny dyrektor dużej huty, naciska guzik na biurku; jeżeli mniej ważny, sięga po telefon; jeżeli jest tylko kierownikiem w bardzo starej hucie, wtedy wstaje zza biurka, idzie do drzwi, uchyla je i stojąc w progu mówi, bez względu na swój status, zawsze te same słowa:

- Proszę przygotować dwie kawy.

Wraca za biurko albo odkłada słuchawkę, nieważne. Zawsze jednak mówi coś w tym sensie:

- Ja już wypilem trzy kawy, miałem dwie narady, nie będę pił, darujcie.

Robi przy tym wyraźny ruch ręką w kierunku serca, twarz dyrektora poważnieje (cierpienie). Bo musimy absolutnie zdawać sobie sprawę z wielkiej odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa, z mnóstwa spraw, z którymi tylko do niego się zwracają, jakby nikogo już innego w tej hucie nie było. A my wiemy swoje. Że dyrektor po prostu kruszeje.

Nam chodzi o milion.

Tyle potrzeba, żeby doszła do skutku wyprawa w Himalaje. Na Lhotse, czwarty szczyt Ziemi.

Dzisiaj inflacja oswoiła nas aż za dobrze z sześciocyfrowymi liczbami. Ale wtedy to była ciężka forsa. Milion to było w 1978 roku 200 średnich miesięcznych pensji. Stawka jest więc duża. Bywa, że za taki 80-metrowy komin bierzemy i ćwierć miliona. To znaczy, że Lhotse ma dla nas wymierną cenę pięciu kominów. Trochę więcej, bo przecież odchodzą od tego procenty, które zabierał Klub, i ktoś jeszcze, jeszcze podatek, koszty farby, którą trzeba „załatwiać”, albo jak kto woli — „organizować”. Niech będzie więc sześć kominów. Góra! Ale najpierw na każdą taką robotę trzeba zdobyć zlecenie. I stąd nasza wizyta

u dyrektora.

— ...Na linach? — Widzimy, że trudno mu uwierzyć, a przy tym widmo tych komisji, które łąda dzień mogą się znowu przyczepić, nie ustępuje.

— Jesteśmy alpinistami. My to naprawdę umiemy.

— Taaak. Na linach. — Dyrektor ciągle nie bardzo potrafi to sobie wyobrazić, ale równocześnie wie, chociaż nie przyzna się do tego za żadne skarby, że właściwie spadliśmy mu z nieba, prosto na ten przeklęty, rdzewiejący komin. Broni więc już nie tyle sprawy, ile swojego autorytetu.

— Ale my jesteśmy, wiecie, przedsiębiorstwem państwowym. My nie możemy zlecać tak poważnych robót, wiecie, byle ko... — tu ugryzł się w język — to znaczy chciałem powiedzieć, że osobom prywatnym.

— Te pieniądze są przeznaczone na Fundusz Akcji Socjalnej Młodzieży. Wszystko jest dokładnie określone w odpowiednich przepisach, my już nie pierwszy raz...

Jeżeli trzeba, wyrecytujemy numer odpowiedniego Dziennika Ustaw, a nawet rozporządzenia. Jesteśmy do tej lekcji dobrze przygotowani.

— Już dobrze, dobrze... Będę musiał jeszcze zasięgnąć opinii radcy prawnego. W razie czego... Od kiedy, wiecie, moglibyście zacząć z tym kominem?

Wygraliśmy. Dyrektor też. Ale takich rozmów, często zresztą znacznie krótszych i bez efektu, musieliśmy przeprowadzić dużo. Zdobyć wtedy milion nie było łatwo.

Skąd my w ogóle na Lhotse? Ta sprawa ma też swoją historię. Jeszcze w latach siedemdziesiątych wspinaliśmy się najczęściej w Tatrach, wyjazd w Alpy był szczytem osiągnięć, później wyweszliśmy szansę stosunkowo niedrogich wypraw w afgański Hindukusz. Za nieduże pieniądze można było zrealizować marzenia o górze liczącej 7 tysięcy metrów.

Apetyty polskich alpinistów rosną jednak niezwykle szybko.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych wyjeżdżają pierwsze polskie wyprawy w Himalaje! Rusza prowadzona przez Janusza Kurczabę wyprawa na K-2, Wandy Rutkiewicz na Gasherbrumy, wrocławiaków na Broad Peak. Były to jednak pierwsze jaskółki. W latach 1977–1979 zaczyna wypraw przybywać. Dochodzi do sytuacji, w której Polski Klub Górski otrzymuje zezwolenie na atakowanie Lhotse, ale równocześnie stara się o zezwolenie także na inne szczyty. Kiedy do Warszawy dociera wiadomość, że można organizować wyjazd na dziewiczą jeszcze Kangchendzöngę Środkową i Południową, Polski Związek Alpinizmu nagle przeżywa typowe kłopoty bogactwa. Kangchendzönga jest celem ambitniejszym, więc jej postanowiono poświęcić całą energię organizacyjną i główne siły sportowe. Ale co zrobić z Lhotse? Polski Związek Alpinizmu decyduje się tę górę „odpuścić”. Czy jednak ktoś w Polsce chce i potrafi w ciągu roku przygotować taką wyprawę? Zdecydowało się na to koło gliwickie. Na czele tego śmiałego projektu stanął Adam Bilczewski.

I tak się to zaczęło. Łaziliśmy po kominach, a myśleliśmy o Lhotse. Z tymi kominami była w ogóle fajna sprawa. Jakoś nikogo nie raziło, że aby podreperować

Fundusz Akcji Socjalnej Młodzieży wspinali się na nie z kubłami farby i potężnymi pędzlami nierzadko czterdziestolatkiem, w dodatku bywało, że z wysokimi stopniami naukowymi. Perspektywa Himalajów potrafi uskrzydlić, nieważne stają się metryki i naukowe przewagi. A cała batalia o te kominowe miliony rozgrywa się późnym popołudniem w soboty i w niedziele, bo przecież każdy z nas w dni powszednie pracuje albo studiuje. Jedni na tych kominach wisieli dłużej, inni krócej. Ci drudzy odpracowywali swój udział w czynnościach ściśle organizacyjnych. Jeździli na przykład daleko w Polskę po odpowiedni na śpiwory i kurtki puch, gonili za wszystkim, bez czego nie może obejść się himalajska wyprawa.

Kiedy mieliśmy już uciulane 90 procent tego miliona złotych, doszły do tego także małe dotacje z WKKF-u i innych instytucji.

Gorzej było z dolarami. Wtedy jeszcze, za pośrednictwem WKKF-u, można było w celach turystycznych załatwić wymianę 150 dolarów na osobę. Wszystkie te „zielone” szły do wspólnej „skarpety” i stanowiły dolarową pulę wyprawy. Chociaż nie wiem jak bardzo oszczędzalibyśmy tę najważniejszą „skarpetę”, nie mogliśmy zajechać na niej zbyt daleko. Problem rozwiązał dopiero Robert Niklas. Kiedyś wspinał się z nami w Tatrach, był jednym z moich pierwszych instruktorów. Później, chyba w 1970 roku, wyjechał do RFN-u i tam już został. Teraz jedźcie z nami i cały swój udział w wyprawie opłacił w „twardej walucie”. Dzięki niemu nasza „skarpetka” nabiera na znaczeniu.

Wyprawa na Lhotse... Dajmy sobie już spokój z tymi złotówkami, dolarami. Dla mnie ma ona znaczenie wyjątkowe. Proponując mi w niej udział Klub Gliwicki jakby przymykał oczy na wszystkie moje dotychczasowe problemy w wysokich górach. To przecież właśnie Adam Bilczewski czy Janusz Baranek najlepiej wiedzieli o tym, że na Alasce nie bardzo się sprawdziłem, bo „sieknęła” mnie tam choroba wysokościowa już na pięciu tysiącach metrów. Wiedzą, bo byli przy tym. A jednak pamiętali o mnie. W tej liczącej 19 osób wyprawie zarysowuje się wyraźnie grupa 6–8 osób, na których można polegać w czasie akcji górskiej. Czuję się zaliczony do tej „szpicy”.

Problem, którego rozmiary trudno w tej chwili określić, kryje się w czym innym. Nie ma właściwie wśród nas ludzi naprawdę sprawdzonych na dużych wysokościach. Brzmi to jak paradoks, ale pod tym względem bynajmniej nie odstaję od innych. Mimo, że byłem tylko na siedmiu tysiącach w Hindukuszu i raz, bliski już szczytu Nanga Parbat, otarłem się również o 8 tysięcy.

A Lhotse jest czwartą górą świata. Liczy 8511 metrów.

Nie miałem większych złudzeń, że wpisując mnie na listę tej wyprawy, puszczono całkowicie w niepamięć sugestie o mojej słabości. Przecież wystarczy tylko raz gdzieś coś o kimś powiedzieć, najlepiej na ucho, i taki „smrodek” za człowiekiem się wlecze uparcie. Lhotse może więc być moim ważnym argumentem. Wobec wszystkich. Zwłaszcza jednak dla tych, którzy byli też na Alasce, a teraz wiążą ze mną określone nadzieje.

* * *

Samolotem poleciliśmy do Bombaju, gdzie czekały już na nas przewiezione morzem, załadowane ekwipunkiem, nasz star i nysa, którymi mieliśmy przejechać całe Indie, aż do Nepalu.

Jestem po raz pierwszy w Indiach. W porze, w której akurat zaczyna się okres monsunów. Leje. Wychodzimy z jako tako cywilizowanego lotniska, wsiadamy w taksówkę i nagle znajdujemy się w dzielnicy, w której są jedyne, dostępne na naszą kieszeń, hotele — za dwa dolary. Brudne klitki z pryzami, po korytarzach biegają szczury, ciągle leje deszcz, wszędzie panuje straszliwa wilgoć i upał. Noc właściwie nieprzespana.

Leżę na lepkiej od brudu pryczy, w jakimś półśnie, szarpany ciągłym dudnieniem po parapecie. Nagle zaczyna mnie nurtować niedobra myśl.

To tak wyglądają wielkie podróże sławnych wojażerów?

Na każdym kroku przestrzegani jesteśmy, że nie wolno tu byle czego jeść. Nie wolno pić wody. Nie wolno właściwie niczego, bez czego trudno tutaj Europejczykowi w ogóle egzystować. Wolno wypić zimną coca-colę czy lemoniadę, bo są kapslowane i wolne od ameby. Ale skarbniczka wyprawy Małgosia Kielkowska trzyma twardo rękę na „skarpecie”, do której złożyliśmy po 150 dolarów i broni ich jak lwica swych dzieci. Raz, tylko raz, wydzieliła każdemu z nas na jedną colę. Pamiętam, bo było to wielkie święto. Jeżeli nawet ktoś z nas ma jakiegos dewizowego „zaskórniaka”, to traktuje te 10 czy 20 dolarów jak swoistą relikwię. Obraca je długo w palcach i najczęściej wkłada z powrotem do kieszeni. Nie będzie ich wydawał na głupstwa. Odmawia sobie. Typowe podróżowanie po polsku z wszystkimi jego uciechami.

Szybko dochodzi do zderzenia teorii z indyjską rzeczywistością. Teorią jest wszystko, co człowiek kiedyś o Indiach przeczytał, co usłyszał od bardziej doświadczonych, obytych w świecie znajomych. Nie trzeba wielu godzin, by wszystko to okazało się mitem. Indii trzeba uczyć się tutaj, na miejscu, od nowa.

Uczono mnie na przykład, że trzeba się wytrwale targować na każdym kroku, w efekcie tego rodzaju pouczeń człowiek okazuje się tak „mądry”, że wyklóca się i tam, gdzie tego nie potrzeba. Odkrywam wkrótce, że znajduję się wśród zupełnie innych, ale też... ludzi. Wszystko to jakoś funkcjonuje i to bynajmniej nie na zasadzie najbardziej uproszczonej, którą mi wpajano, że jest to zwykły motłoch, z którym nie należy się w ogóle wdawać w rozmowy. Z tymi ludźmi właśnie rozmawiać trzeba. Chociażby wtedy, kiedy należy cokolwiek załatwić i musi się zejść z tego żenującego „piedestału” białego człowieka. W miarę upływu czasu straciłem resztę zaufania do mojej „wiedzy” o Wschodzie.

Nie oznacza to jednak, że od razu potrafię się ze wszystkim oswoić.

Po dwóch dniach wyciągnęliśmy wreszcie bagaże z komory celnej i od tej pory zaczęła się nasza droga na północny wschód przez całe Indie. Wrażen z tego etapu podróży nie zapomnę chyba nigdy. Nasz ogromny star z przyczepą i nyska, brnące w

tłumie taksówkarzy, rowerzystów, innych ciężarówek. Zupełnie odmienne zasady ruchu. Zasady? Ciągła walka nerwów prowadzona w myśl zasady, że na drodze ma rację większy i silniejszy, on wygrywa, słabszy musi mu ustąpić. Nasze wozy prowadzi Wiesiek Lipiński i Andrzej Popowicz. Obłąd.

I na każdym kroku, wręcz namacalnie widać, ilu ludzi żyje w tym kraju. Bywało, że stawaliśmy w szarym polu, gdzie wydawało się, że nie ma żywej duszy. Po trzech minutach jesteśmy już otoczeni tubylcami. Przychodzą, patrzą, dotykają nas, bo jesteśmy dla nich kimś innym, nowym.

Nie są agresywni, ale natrętni. Przekreślają jakąkolwiek intymność, do której przywykłem. Kiedy jem, przychodzą, stoją i patrzą uparcie w menażkę. Bardzo mało brakuje, żeby któryś z nich włożył do tej menażki palec i oblizał go. To nie agresja, to ciekawość odzierająca mnie z resztek własnego „ja”. Nie zebranina. Oni o nic nie proszą, ale patrzą. Tylko patrzą. Jeżeli cokolwiek dostaną, przyjmują to bez słowa.

Jedziemy tak dwa tygodnie. I leje. Ciągłe leje. Jesteśmy cały czas mokrzy, nie mamy niczego suchego, wszystkie rzeczy dzielą się na brudne i mokre oraz czyste i mokre. Noclegi albo w „hotelach” na pryczy wśród szczurów, albo w polu, gdzie zawsze natychmiast zostają oblepiony Hindusami niczym chmurą mszyc, gdzie nie ma innego wyjścia, jak wmówić sobie: „nie ma nikogo, nie przejmuję się, robię swoje”.

Nie jestem w stanie ocenić, co było próbą trudniejszą: „hotel” czy biwak pod nieustannym ciężarem setek par oczu śledzących każdy mój ruch.

Docieramy wreszcie do Katmandu, gdzie z wielką pompą zajeżdżamy na dziedziniec polskiej ambasady. Ministrem pełnomocnym jest Andrzej Wawrzyniak (znany w Polsce jako założyciel i dyrektor warszawskiego Muzeum Azji i Pacyfiku). Jest wobec nas pełen dobrej woli, stara się pomóc, co doceniamy, a zawdzięczamy to faktowi, że jeszcze stosunkowo rzadko docierają do Nepalu takie wyprawy jak nasza. W miarę upływu lat, kiedy każdego sezonu zajeżdżało tutaj cztery, a nawet pięć wypraw, pokłady entuzjazmu i gościnności naszej ambasady zaczęły się wyraźnie wyczerpywać. Dla ofiarnego dyplomaty stały się kłopotliwym dopustem bożym. Trudno się temu dziwić. Może jednak sam komplikował sobie po trosze te sprawy? Czuł się nie tylko gospodarzem, ale wymagał również, by tak właśnie go traktować, dążył do tego, by mieć nad wszystkim kontrolę. I przez to absorbowały jego czas i uwagę ponad miarę.

Robię swoje. Wraz z kolegami przepakowujemy cały sprzęt. Dzielimy go na ładunki 30-35 kilogramowe, rzeczy niepotrzebne zostawiamy w ambasadzie. Bilczewski z Kielkowskim nie tracą ani chwili, gonią po urzędach i załatwiają niezliczone formalności.

Karawana trwała prawie 19 dni. Najpierw był to marsz z dolin nepalskich przez wzgórza porośnięte ryżem. Później pięliśmy się coraz wyżej i wyżej.

Jak każda wyprawa, i my korzystamy z usług miejscowej agencji. Jest nią w naszym przypadku Sherpe Cooperative, która organizacją całości zajmuje się już na miejscu. Zapewnia sirdara, również kucharza, stawia sobie w ogóle za cel, by wyprawa

odbywała się w warunkach komfortowych (czytaj: kosztownych), więc usiłuje wcisnąć każdej ekspedycji jak najwięcej swoich pracowników. My najchętniej zrezygnowalibyśmy z tego „komfortu” w ogóle. Po długich wzajemnych przekonywaniach udało się nam wytargować tylko pięciu takich „umysłowych”, to znaczy: kucharza, dwóch jego pomocników, sirdara (przewodnika wysokogórskiego) i dochodzącego do tego z urzędu oficera łącznikowego, który pełni funkcję przedstawiciela rządu nepalskiego, ściślej — Ministerstwa Turystyki.

Nie cieszyliśmy się tym sukcesem długo, bowiem sirdar już na wstępie oświadczył, że do pomocy musi mieć koniecznie naików, a urzędnicy w agencji przytakiwali jego słowom ze zrozumieniem.

— Wiąże się to, oczywiście, z pewnymi dodatkowymi wydatkami, ale macie, panowie, za to „z głowy” wszystkie problemy związane z karawaną. Dochodzicie do bazy bez kiwnięcia palcem — zapewniali przekonywająco.

Kiwnąć palcem jednak trzeba było i to już pierwszego dnia. Sirdar zażądał pieniędzy na wypłatę dla tragarzy za 7 dni z góry. Dostał je.

Idąc pod górę postanawiamy w pełni korzystać z luzu, jaki daje nam karawana, której losy powierzono tak fachowym ręką. To, co się rozgrywa między tragarzami, obserwujemy jako ciekawostki obyczajowe, miejscowy folklor. Tylko, na przykład, nie bardzo mogę zrozumieć, dlaczego jeden porter idzie sobie z rękoma w kieszeniach, a inny ugina się pod dwoma ładunkami. Ten z rękoma w kieszeniach jest widocznie lepszy i podnajmuje sobie chyba innych. Ciekawi ludzie...

Kiedy jednak po dwóch dniach cała karawana staje w miejscu, a ludzie oświadczają, że dalej bez pieniędzy nie pójdą — czar pryska. Wzywamy sirdara.

- Dlaczego ci ludzie nie dostali pieniędzy?
- Bo już nie mam. Wszystkie wypłaciłem — bije się w piersi.
- Przedwcześniej dostałeś pieniądze na wypłatę za cały tydzień...
- Dostałem — odpowiada z niezachwianym spokojem. Więc bierzemy kartkę, długopis i powoli przy nim liczymy.
- Wychodzi, że powinieneś mieć jeszcze 10 tysięcy rupii.
- Ale nie mam.
- Jak to, nie masz?
- No nie mam. Wszystko wydałem...
- Ale komu wydałeś?
- Zapłaciłem naikom — sirdara nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi.

— To w takim razie naikowie powinni zapłacić tragarzom — naciskamy naszego trudnego, bardzo trudnego rozmówcę.

— Powinni, ale zabrakło...

Widzimy, że cała ta rozmowa staje się beznadziejna. Nie dogadamy się z nim. „Wydał” i koniec. 10 tysięcy rupii to jest tysiąc dolarów, czyli dla zamożnej europejskiej wyprawy nic. Ale nie dla nas. Mamy przecież wszystko tak dokładnie wliczone, że może nadejść moment, w którym wyprawa rozłoży się z powodu braku

nawet stu rupii. Bo nadwyżki dewiz, niestety, nie mamy. Nie jesteśmy wyprawą zachodnią, której każdy uczestnik w takiej sytuacji sięgnie do kieszeni, wyciągnie stówę „zielonych” i dołoży. Drobiazg. Nie ma sprawy.

A dla nas to jednak majątek. Stają zaraz przed oczami te godziny przedyndane w kraju na kominach, te 150 dolarów wymienionych i wpakowanych do pilnowanej przez Małgosię „skarpety”, których brakuje nawet na jedną coca-colę. Ile byłoby coca-coli, takich zimnych, w zroszonej od chłodu butelce, za 10 tysięcy rupii? — Coś jednak trzeba zrobić.

Przede wszystkim zwalniamy sirdara i cały ten jego „staff”. Napisaliśmy, oczywiście, do agencji, że sirdar nie rozliczył się z pobranych pieniędzy, w związku z czym oczekujemy ich zwrotu.

Od tej pory cały transportowy bałagan mamy na swoich głowach.

Za naukę płacimy drogo. Dyżurni pilnujący kuchni muszą wstawać jeszcze przed świtem, żeby cokolwiek ugotować. Każdy ma dokładnie określone funkcje. Jeden rozlicza tragarzy, którzy już skończyli pracę, inny wynajmuje następnych. Ale to nie jest normalne przedsiębiorstwo. Kiedy rozlatuje się jakiś ładunek, przy jego przepakowaniu zostaje kilka drobnych rzeczy, trzeba je dać innemu tragarzowi. Jednak ten się buntuje, nie chce brać, bo uważa, że i tak ma ciężko. I tak codziennie.

Ale idą naprzód.

W całym tym zwariowanym młynie ludzi i ładunków nie mamy żadnego wsparcia ze strony oficera łącznikowego. Podobno zdarzają się i tacy oficerowie, którzy są prawdziwymi opiekunami wyprawy, okazują pomoc. Nasz do takich, niestety, nie należy. Tak jak wielu jego kolegów jest dla nas zwykłym balastem. Nic go nie obchodzi. A zwłaszcza tragarze, których traktuje jak śmieci, bo jest najczęściej z lepszej kasty, więc w ogóle z nimi nie rozmawia.

19 dni karawany było dla nas jedną wielką nauką stosunków nepalskich. Próby narzucenia tragarzom naszej woli nie przynosiły większych rezultatów. Mają własne, utarte zwyczaje, których my nie rozumieliśmy. Jeden z nich mówi, na przykład:

— Jutro robimy odpoczynek.

— Jaki odpoczynek? — Zaraz krew uderza nam do głowy. — Nie ma mowy o żadnym odpoczynku. My płacimy za pracę, nie za odpoczywanie. My też niesiemy. Nam się spieszy!

— Don't worry — Nepalczyk spokojnie odczekał, aż skończymy się pienić. — Jutro i tak musicie zmienić tragarzy. Nasi od tamtej wioski już nie pójda, bo tam ich pobiją.

Przeświadczeni, że ktoś nas usiłuje znowu zrobić w konia, stawiamy na swoim.

— Nigdzie, żadnych tragarzy zmieniać nie będziemy. Wybicie to sobie z głowy!

A okazuje się, że trzeba było tragarzy zmienić, bo nakazywały to miejscowe zwyczaje. W przekładzie na polskie realia dałoby się to sprowadzić do tego, że ci z „Sosnowca” przyszedli do „Katowic”, więc trzeba ich popędzić, bo odbierają nam

robotę. Sprawa była poważna, rozróżba groziła rozpierzchnięciem się całej karawany. Trzeba pamiętać o niezliczonych podobnych sprawach, a przede wszystkim trzymać nerwy na wodzy. Nie jest to łatwe.

Kiedy już mało brakowało, by doszło do bójki między bardziej krewkim Wieśkiem a jednym z tragarzy, później drugim i trzecim, wszyscy zaczynają nagle uciekać i żaden z nich w ogóle niczego nie chce nosić.

W dodatku cały czas pada deszcz. Non stop. W wyniku tego namiot, który normalnie waży 7 kilogramów, kiedy dają go po nocnej ulewie tragarzowi, waży dwa razy tyle. Tragarz protestuje i ma rację. Ale nie można tej płachty rozłożyć, poczekać aż wyschnie, bo z nieba ciągle leje.

Wszystkiego dopełniały pijawki, które w nieustannym chlupocie wody czuły się jak w raju. Przedzierając się przez trawy i krzewy zgarnialiśmy je własnymi ciałami. Wpijały się w nas bezlitośnie. Odkrywaliśmy je najczęściej dopiero na biwaku, przywarte do najbardziej nieoczekiwanych skrawków naszego ciała, już leniwe, bo syte od naszej krwi.

Nawet najuciążliwsze drogi mają jednak swój kres. Gdy rozciągnięci na odległość paru dni dochodzimy do Namche Bazar, pogoda poprawia się. Jesteśmy już na 3200 metrach, w typowo szerspańskim miasteczku, zamieszkanym przez zupełnie innych ludzi. Solo Khumbu to kraina Szerpów. Wczorajsze kłopoty zostają za nami. Jesteśmy jakby na naszym Podhalu, wśród górali.

Od tej chwili w karawanie kroczą też jaki, a na ich grzbiety ładujemy cały majdan. Z tą chwilą kończą się wszelkie problemy transportowe. Jeżeli nawet któryś z tych czworonożnych samochodów ciężarowych otrze się o skałę i rozwali przy tym cały ładunek, przepakowujemy go bez słowa, bo nie jest to aż tak uciążliwe. Ciągłe idziemy pod górę, teraz zaczynamy coraz częściej odpoczywać.

Z początkiem września docieramy wreszcie do bazy pod Everestem i Lhotse. Po trudach podróży przez niziny, puszcze, zmaltretowani przez pijawki, które o tej porze roku są zmorą wszelkich zarośli Nepalu, jesteśmy w miejscu, o którym tak dużo słyszałem i czytałem. W miejscu, o którym tak często od dawna marzyłem.

Kilka dni wcześniej rozbiła już tutaj namioty międzynarodowa wyprawa na Mount Everest, organizowana w zasadzie przez Niemców. Byli jednak w jej składzie i Francuzi, i Szwajcarzy, był nawet także nasz stary znajomy z Alaski Ray Genet.

Wynajdujemy miejsce pod namioty i stawiamy je, wygrzebujemy z bębnow wszystko co potrzebne, na każdym kroku czeka masa robót czysto gospodarczych. Trwa to trzy dni i dzieje się na wysokości 5400 metrów. Nastąpiło więc pierwsze zetknięcie się z wysokością, która nawet najprostsze czynności zamienia w męczarnię. Na początku to zmuszanie się do pracy jest straszne. Boli mnie głowa, męczą nudności, najchętniej zwałiłbym się pod najbliższym głazem i poddał temu ogólnemu osłabieniu, rozbiciu.

Po raz pierwszy odkrywam, że najlepszym lekarstwem na chorobę wysokościową jest ruch i ciągły wysiłek fizyczny. W ten sposób pobudza się organizm do intensywniejszej wentylacji, szybszego krążenia krwi, zmusza do szybszej adaptacji

w nowych warunkach.

Kiedy nareszcie wszystko w bazie stoi i leży na swoim miejscu, po raz pierwszy, tak na serio, patrzymy w górę.

Za cel postawiliśmy sobie wejście na Lhotse, jednak każdemu z nas wzrok jakoś sam ucieka w kierunku, gdzie piętrzy się on, Everest.

Góra jak inne. Są nawet od niej piękniejsze. Ale przez to swoje „naj” wzbudza pragnienie „zaliczenia” jej, chęć kryjącą w sobie wszelkie cechy fizycznego pożądania.

„Jeżeli już tutaj jestem...” — ta myśl tłucze się uparcie w głowie. Na to pożądanie Największej Góry nakłada się myśl, że aby naprawdę ją osiąść, trzeba będzie od początku organizować całą wyprawę. A przecież jesteśmy na miejscu...

Nie pozostaje nic innego, jak bardzo żałośnie westchnąć.

Rodzi się pomysł, że może by tak pogadać z tą międzynarodową wyprawą, może ktoś z nich chciałby akurat na Lhotse, a w zamian za to ktoś z nas wślizgnąłby się dzięki ich zezwoleniu, niejako „bocznymi drzwiami” na Everest? Nieśmiało rozmowy na ten temat utknęły szybko w miejscu. Nie kwapili się. Postanowiliśmy sobie w duchu, że – ewentualnie – wrócimy do nich po wejściu na szczyt, kiedy już będziemy wiedzieli, jak komu poszło.

Trudno klasyfikować, która z tych dwóch gór jest trudniejsza. Technicznie są porównywalne, Everest jest jednak wyższy o 400 metrów, a na tej wysokości jest to bardzo dużo.

Do wysokości 7300 metrów drogi na obie góry będą identyczne.

Ale widzimy już oczami wyobraźni ten moment, kiedy jedni pójdą, bo tak nakazuje zezwolenie, w prawo, a drudzy w lewo.

My na Lhotse. Będzie to, o ile oczywiście sprostamy zadaniu, pierwsze polskie wejście na szczyt czwartej góry świata, siódme w ogóle w jej dziejach. Ale co ja na to poradzę, że mnie te wyłącznie patriotyczne ambicje jakoś nie satysfakcjonują.

Nawet nie zastanawiam się nad tym, że te rozmyślania z wysoko zadartą w górę głową mogą kryć w moim przypadku pewne cechy swoistego hochsztaplerstwa. To właśnie ja, który tak robiłem bokami na McKinleyu, tylko raz byłem w Hindukuszu na szczycie siedmiotysięcznym, jedynie raz, w dodatku przegrywając, otarłem się o wysokość 8 tysięcy na Nanga Parbat, wreszcie ja, za którym gdzieś tam w kraju wlecze się posiany kiedyś „smrodek”, że do wysokich gór się nie nadaje — stoję teraz tutaj z głową uniesioną wysoko i wybrzydzam na perspektywę wejścia „tylko” na Lhotse.

Bezczelność?

Nie. Tkwi we mnie coś takiego, co sprawia, że nie interesuje mnie gra o małe stawki. Dla mnie liczy się jedynie „naj”. Tylko to mnie bierze naprawdę.

Teraz psuje mi humor tylko jedna rzecz: że pójdziemy na Lhotse drogą klasyczną i tym samym niczego nowego nie wniesiemy. Zastanawiamy się z Januszem Skorkiem i Andrzejem Czokiem, czyby jednak nie pójść nieco bardziej w prawo

i zrobić direttissimę zachodniej ściany.

Wielu chętnych do tego jednak nie było. Przeważała w końcu opinia, że robienie wariantu, który jest wprawdzie o wiele trudniejszy, niemniej zostanie tylko wariantem, jest pchaniem się na siłę w trudności w ścianie, w której o 100 metrów dalej jest łatwy żleb, dostępny bez większych problemów. Wszystko to jest wynikiem myślenia kategoriami tatrzańskimi, i nie warto ryzykować.

W czasie tych rozważań u podnóżu najwyższych gór świata zrodził się inny pomysł.

Spróbujemy zrobić Lhotse bez tlenu.

Początkowo postanowiło podjąć tę próbę czterech z nas. Oprócz Andrzeja Czoka i mnie, Janusz Skorek i Zyga Heinrich. Zyga jednak bardzo szybko „odpuścił”. Pewnego dnia zakomunikował:

— Iść tam bez tlenu, to za duże ryzyko.

I nikt z nas się temu nie dziwił. Pamiętajmy, że podejmowaliśmy tę decyzję jeszcze w latach, w których pokutowała teoria o złych następstwach niedotlenienia mózgu na dużych wysokościach. Miało to prowadzić do trwałych zmian w mózgu. U nas, w bazie, mówiło się o tym żartem, w rodzaju:

— Zobaczysz, jak ubędzie ci połowa szarych komórek... będziesz przygłupem...

Tworzyło to pewną zrozumiałą barierę psychiczną. I nikt się z Zygi nie śmiał.

Do ostatniego momentu, to znaczy noclegu w obozie IV, w którym byliśmy po miesiącu akcji, chcieliśmy wchodzić na szczyt bez tlenu w trójkę. Równocześnie jednak nikt z nas swojej decyzji w tej sprawie nie wypowiedział na głos. Kwestia jest właściwie otwarta. Mało tego, zachowujemy się wszyscy tak, jakbyśmy tlenu mieli używać. Wnosimy ze sobą aparaturę i butle. Są złożone pieczołowicie w obozie IV na wysokości 7800. Kiedy schodzimy przed atakiem szczytowym do bazy, one, tam wysoko, na nas czekają.

W bazie ustalamy, że pierwszym zespołem będzie czwórka: Janusz Skorek, Andrzej Czok, Zyga Heinrich i ja. Nie wynika to z żadnych zawitych „kadrowych” spekulacji. Bardzo pomogła w tym postawa naszego kierownika Adama Bilczewskiego, który widząc, że ma wyraźnie określoną „szpicę”, prowadzącą właściwie całą akcję, dał nam w tym decydującym momencie całkowicie wolną rękę. Nie działał na zasadzie: „to ja jestem kierownikiem i mam tu coś do powiedzenia”. Dał nam maksimum swobody.

Wyruszamy z bazy, dochodzimy do obozu IV, rano mamy ruszać na szczyt. Wstajemy rano i jest to ostatni moment, by jasno sobie powiedzieć jedną rzecz, być może najważniejszą.

— Co z tym tlenem?

Andrzej Czok był twardy od samego początku, więc nie zaskoczył nikogo z nas, mówiąc:

— Ja idę bez.

— Nie będę ryzykował. Zaraz włączam aparat — oznajmia Skorek.

— Ja też — mówi sucho Zyga.

Ja wykombinowałem wyjście pośrednie. Bez słowa biorę na plecy całą aparaturę, butlę i maskę, które ważą w sumie około 10 kilogramów, ale postanawiam nie podłączać się do tego wszystkiego. Kiedy widzę, że oczekują i ode mnie jakiejś jednoznacznej deklaracji, mówię:

— Biorę to, ale nie będę się podłączał. Najpierw przekonam się, jaka będzie między wami a mną różnica...

Będę się trzymał Andrzeja, pójdę sobie tak z godzinę — myślę — przekonam się, o ile szybciej „niesie” tych z tlenem. Wiem, że musi być różnica w wydolności, bo oddychając powietrzem wzbogaconym w tlen, człowiek działa sprawniej. Znam siebie, potrafię w górach wsłuchiwać się w pracę własnego organizmu, bywa, że mierzę sobie w czasie akcji tętno. Uważam więc, że mam do tego eksperymentu pełne prawo. Zobaczę i ocenię w akcji siebie i tych, którzy oddychają tlenem.

Pierwsi ruszają Janusz i Zyga. Po godzinie marszu widzę, że zostają za nimi w tyle tylko trochę i różnica nie jest bynajmniej niepokojąca. Nadchodzi więc moment, w którym decyduję się i mówię do Andrzeja:

— Wyrzucam ten balast...

Zostawiam w śniegu butlę tlenową i już lżejszy ruszam dalej.

Po trzech godzinach różnica odległości rośnie. Wyprzedzili nas o godzinę. Byliśmy już powyżej 8 tysięcy metrów. Im wyżej byliśmy, tym wyraźniej widziałem, że Janusz i Zyga coraz bardziej się oddalają. Jednak jakoś z Andrzejem posuwamy się. Powolotku, powolotku... Dziesięć kroków, odpoczynek, w czasie którego zwiśsam całym ciężarem na wbitym w śnieg czekanie tak długo, aż się uspokoją płuca. Znowu dziesięć kroków.

Zaczyna się ten rytm walki na wysokości. Liczę dziesięć kroków, na które nastawiłem „zegarek” własnego organizmu, po chwili zmuszam się do następnych dziesięciu. Najgorzej jest poddać się i usiąść, bo „zegarek” przestaje działać. Wtedy gubi się ten zbawczy rytm bezpowrotnie, a kolejne „nakręcenie” trwa bardzo długo.

I tak, walcząc sami z sobą, dochodzimy w okolice grani szczytowej. Ostatni odcinek jest dosyć głębokim żlebem. Ograniczony z dwóch stron turniami, tworzy coś w rodzaju otwartego z jednej strony komina. Od strony Kotła Zachodniego wieją zazwyczaj bardzo silne wiatry. Stłoczone masy powietrza prą tym kominem w górę, właśnie z dołu do góry. Zawsze idzie się tędy w śnieżnym tumanie, który jednak dodaje skrzydeł, pcha do celu. Momentami, w tej białej od pędzonego wiatrem śniegu chmurze, nie widzimy się.

Kiedy Janusz z Zygą schodzą po osiągnięciu celu, mnie z Andrzejem dopiero czekają ostatnie kroki.

— Fajnie, wam się już udało — dyszymy zmaltretowanymi brakiem tlenu płucami.

— Macie już niedaleko, najwyżej 20 metrów, ale nie czekamy na was — mówią. Klepiemy się słabo po ramionach, uwiarygodniając tym serdeczność naszych

gratulacji.

I dalej, już tylko te ostatnie z najcięższych kroków. Wchodzimy na szczyt.

Ma on postać sporego nawisu i właściwie nie wiadomo, kiedy przestać iść dalej, bo wisi cały w powietrzu. Wyciągam pożyczoną ciężką „exactę”, robimy zdjęcie z proporczykiem mojego pierwszego Harcerskiego Klubu Taternickiego, i z drugim, z biało-czerwonym herbem Katowic.

Jest południe. Nie przeżywam najmniejszej nawet euforii. Wiem tylko, że mam za sobą sześć godzin tego upartego dreptania po dziesięć kroków, przerywanego przystankami, wymuszonymi przez skatowany do granic organizm. Całą szczytę, w której czas jakoś okropnie się wydłuża, a człowiek staje się w wyniku tego przytłumiony, pozbawiony kontaktu ze wszystkim, z wyjątkiem jednego: celu.

Nie pamiętam nawet dobrze, co na tym szczycie robiliśmy. Zdjęcie jeden drugiemu na pewno, bo wyciągania z dna plecaka bryły lodu, jaką jest aparat, zapomnieć się nie da. I że poszliśmy w dół...

Natomiast dojście do szczytu, ten moment, kiedy mijamy się z Januszem i Zygą, którzy już schodzą, a ja mam jeszcze zrobić dwadzieścia kroków, wszystko to utrwaliło mi się w pamięci ostrzej niż na kliszy. Bo sam wierzchołek, to już tylko świadomość potwornego fizycznego zmęczenia i przemożna myśl o jednym: jak najszybciej w dół!

Schodzimy „kominem”, w którym wichur usiłuje nas jakby nie puścić w dół. Dochodzimy do „czwórki”, później jeszcze niżej, do „trójki”, w której czekają na nas Bilczewski i Baranek. Jutro pójdą wyżej, by zanieść tlen do „czwórki” dla następnych zespołów. Ale dzisiaj są przejęci powodzeniem naszej akcji. Gotują i podają do rąk gorącą herbatę i jakąś zupkę. Siedzę, słyszę jak wewnątrz mnie uspokaja się ta skomplikowana, bliska „zatarcia” machina organizmu. Trzymam w rękach wciśnięty przez dobrych kolegów gorący kubek i czuję, że zaczynają puszczać we mnie wewnętrzne lody. Jest mi tak dobrze, że kiedy Andrzej Czok i Janusz Skorek postanawiają schodzić do obozu drugiego, gdzie warunki są wręcz komfortowe, mnie robi się... żal. Mówię:

— Ja tu zostanę jeszcze jedną noc. Do rana. Dobrze?

Nie mówiłem wszystkiego, co właśnie przeżywałem. Że jest piękna pogoda i szkoda mi tak nagle rozstać się z górą, która kosztowała mnie tyle wysiłku.

Dobrze mi tu.

Wlazłem do śpiwora, rozmawiamy. Dociera do mnie, że wysiłek skończył się sukcesem. Jednak doszedłem.

Później zejście do bazy. Świątowanie, słodkie lenistwo, nie muszę się już spręzać, noc jest znowu normalnym snem, a nie jedynie wyczekiwaniem wstawania. Pełny luz. Chwile, w których zaczyna się spijać smaczek całej wyprawy.

I cały ten szampański nastrój nagle zmienia się w wielki smutek. W międzynarodowej wyprawie doszło do tragedii. Dzień przed naszym atakiem na wierzchołek Lhotse weszli na szczyt Everestu. W drugiej grupie była także żona kierownika

wyprawy Hannelore Schmatz. Miała być pierwszą Niemką na wierzchołku najwyższej góry świata. Szła z dwoma Szerpami, był też z nimi nasz przyjaciel z Alaski Ray Genet. Dotarli na szczyt bardzo późno. W zejściu, na pierwszym biwaku, zmarł z wyczerpania Ray Genet. Hannelore zaczęła nazajutrz schodzić z dwoma Szerpami. W pewnym momencie usiadła i już się nie podniosła. Nie żyła.

Ta tragedia rozgrywała się na naszych oczach. Podchodząc do obozu IV, z odległości paru kilometrów widzieliśmy jakieś ruchome punkciki na śniegu. Mam to przed oczami jeszcze dzisiaj. Trzy punkciki przesuwały się powoli w dół. Jeden z nich się zatrzymuje, stają wszystkie. Myślałem: „odpoczywają”. Po chwili w dół przesuwały się już tylko dwa punkciki, więc dodałem w myśli: „Jedna z tych osób wypoczywa dłużej”. Kiedy jeden z tych dwóch zaczął w pewnym momencie przesuwać się w górę, wracać, moja wyobraźnia przestała działać. Pomyślałem tylko: „wraca po tego słabszego...”

O tym, że ruch tych punkcików zakłóciła ludzka śmierć dowiedziałem się dopiero przez radiotelefon.

* * *

— Pan Messner idzie! Wyprawa pana Messnera!

Biegną dwaj zdyszani Szerpowie i gdyby znali polskie porzekadło, krzyczeliby zapewne: „Z drogi śledzie...”. W powrotnej drodze spod wielkich gór zatrzymaliśmy się na biwaku koło Namche Bazar. Syci chwały zdążyliśmy już rozbić namioty, rozprostować przygięte ciężkimi plecakami grzbiety. Za chwilę zapadnie zmrok, coś tam pichcimy.

I wtedy przebiegła ta dwuosobowa forpocztą Szerpów, znamionująca zbliżającą się z dołu karawanę.

Rozbijają jego namiot, długo z niego nie wychodzą, wyraźnie wszystko w nich dopieszczają, wieszają lampę, rozkładają wytworne legowisko. Obserwujemy tę nietypową krzątanicę, udajemy, że nie takie rzeczy się już widziało, ale wzrok sam ucieka w ich kierunku. Po upływie kilkunastu minut wyłania się karawana.

Idzie o n.

Widzę go po raz pierwszy. Jest naturalny, otwarty. Kiedy zrzuca plecak, nasza kuchnia dymi. Zapraszamy na herbatkę i menażkę typowego górskiego „eintopfu”. Siada z nami.

— Skąd wracacie?

— Byliśmy na Lhotse — odpowiadamy skromnie, ale widzimy, że wywołuje to tylko grzecznościowy grymas ni to uznania, ni podziwu.

— A ty co masz w planie?

— Ama Dablam...

Trochę jestem zaskoczony. Ten szczyt ma 6856 metrów. Kiedy ta typowo górską rozmowa rozkręciła się na dobre, ja — w tym gronie nowicjusz — postanawiam wtrącić swoje trzy grosze.

— Dwa lata temu szliśmy nowym wariantem na Nanga Parbat, i na przełęczce,

niedaleko szczytu, niemal na 8 tysiącach znalazłem latarkę. — Widzę przy tym, że zagadywany ze wszystkich stron przez moich starszych kolegów Reinhold Messner milknie i zaczyna uważnie słuchać tego co mówię.

— Latarkę?... — Wlepia we mnie wzrok.

— Taką zwykłą. Dziwiłem się, skąd się wzięła, bo przecież tam nie było jeszcze żadnej drogi...

— Siedem lat wcześniej od ściany południowej doszliśmy do tej przełęczy z bratem, który wtedy zginął w czasie zejścia. To musiała być jego latarka. Akurat tam zmieniał baterię.

Po siedmiu latach tę latarkę znalazłem ja. Coś nas jednak łączy, chociaż nie mogę oderwać oczu od wspaniałego sprzętu, jaki mu niosą w góry Szerpowie, od lepszych niż puch ubiorów.

— Mam do ciebie prośbę — zwraca się do mnie Messner. — Piszę akurat książkę o moim wejściu na Nanga Parbat. Wdzięczny ci będę, jeżeli znajdziesz tę latarkę. Pamiątka po bracie, rozumiesz. W każdym razie napisz parę słów o tym, jak ją znalazłeś.

— Dobra — odparłem.

Wymieniliśmy jeszcze adresy. Później chcieliśmy koniecznie porobić sobie z nim zdjęcia, ale było już bardzo ciemno. Kiedy dzisiaj oglądam te odbitki, właściwie nie można z nich odczytać kto stoi koło kogo.

Rano oni poszli w górę, my w dół.

Jedna z warszawskich gazet informację o tym, że śląska wyprawa zdobyła szczyt Lhotse, opatrzyła krótkim komentarzem: „Już od dawna samo wejście na jakąś górę, nawet ośmiotysięczną, przestało być wielkim sukcesem”.

Takie podsumowanie naszych wysiłków zabolowało mnie. Musiało upłynąć trochę czasu, nim przyznałem rację temu stwierdzeniu. Nadchodziły inne czasy dla polskiego himalaizmu: poprzeczka poszła mocno w górę.

W domu byłem w barbórkę, 4 grudnia.

Następnego dnia z Warszawy zadzwonił do mnie Andrzej Zawada.

— Jurek, gratulacje! Mam dla ciebie propozycję. Czy nie pojechałbyś z nami na pierwszą w historii zimową wyprawę na Everest? Ruszamy za niecałe dwa tygodnie...

Dla mnie był to bardzo ważny telefon. Świadczył o tym, że ktoś przekonał się, że potrafię wyjść na wysoką górę. W domu zastałem jednak skomplikowaną sytuację. Celina jest w zaawansowanej ciąży, ma rodzić w początkach stycznia, poród może nie być łatwy.

Trzymam przy uchu słuchawkę, w której słyszę słowa Andrzeja. Nie odpowiadam nic. Słucham i myślę.

Everest zimą, ten sam, pod którym byłem zaledwie kilka tygodni temu, ale nie miałem prawa nawet go dotknąć. Taka okazja może się nie powtórzyć...

Głos Andrzeja nie milknie, zaczynam się łamać. Odkrywam w tym potoku słów jednak szansę. Bo Andrzej chce robić również wyprawę na Everest wiosną. To znaczy najpierw zimą, ale chce w pełni wykorzystać cały sprzęt przyniesiony

z mozołem pod najwyższą górę świata i zaatakować ją jeszcze raz. Mówię więc:

— Słuchaj. Z zimowej wyprawy rezygnuję, ale na wiosnę jestem pewnym kandydatem.

— Powiem ci szczerze — Andrzej na to — że wcale nie jestem pewny, czy ta wiosenna wyprawa dojdzie do skutku. Planuję ją tylko tak sobie... Gdyby nie powiodło się zimowe wejście, próbowalibyśmy wiosną od nowa jeszcze raz. Nawet nie wiem, czy będą na to środki...

Wywnioskowałem z tego, że Andrzej, któremu fantazji odmawiać nie można, próbuje tą wiosną jedynie się asekurować na wypadek niepowodzenia niezwykle trudnej akcji zimowej. Pierwszej tego rodzaju próby w dziejach alpinizmu. Jeżeli ta zimowa przyniesie sukces, wiosenna straci w jej blasku sens. Nie potrafię się jednak przełamać.

— Andrzej, tak jak powiedziałem. Inaczej nie mogę... Odkładam gorącą i wilgotną od potu słuchawkę.

15 grudnia odleciała pierwsza grupa. Beze mnie.

Są sprawy jeszcze ważniejsze niż Himalaje. Najważniejsze.

W sylwestra urodził nam się syn. Daliśmy mu na imię Maciek.

Książka dostępna jest na...
www.kukuczka.net

Wreszcie najwspanialszy moment w każdej wspinaczce. Chwila, kiedy od szczytu dzieli mnie już tylko kilka kroków, kiedy wiem, że już nic nie stanie mi na przeszkodzie, kiedy wiem, że zwyciężyłem... Zwyciężyłem nie górę czy pogodę, lecz przede wszystkim siebie, swoją słabość i swój strach. Kiedy mogę już podziękować górze, że i tym razem była dla mnie łaskawa. Tych chwil nie oddam nikomu za żadne skarby i jeżeli muszę w drodze do szczytu pokonywać przeszkody i ocierać się o nigdy nie określoną granicę między kalkulowanym ryzykiem a ryzykanctwem, to trudno, zgadzam się. Zgadzam się na walkę ze wszystkimi niebezpieczeństwami, które na mnie czyhają. Zgadzam się na wiatry, które tygodniami biją w ściany namiotów i doprowadzają do granicy szaleństwa. Zgadzam się na drogi prowadzone na granicy wytrzymałości. Zgadzam się na walkę. Nagroda, którą otrzymuję za te trudy, jest niebotycznie wielka. Jest nią radość życia.

Jerzy Kukuczka

ISBN 978-83-928083-0-5



9 788392 808305 >

www.kukuczka.net